

Rekolekcje Wielkopostne – Wierzyć dzisiaj

Drukowanie poniższego tekstu jest możliwe pod warunkiem zachowania w tekście drukowanym informacji znajdującej się w stopce każdej strony.

Sobota – II tydzień WP

Nauka 18 – Świadek wiary

Dzisiaj kiedy pisałem naukę, aby umieścić ją wieczorem na stronie, wpadł mi w ręce list młodej dziewczyny, która z ogromnym przejęciem i niezwykłą szczerością opowiada swoje spotkanie z Bogiem w bardzo trudnej sytuacji. Chora na raka w 16 roku życia mogła stracić nie tylko nogę, ale i wiarę. Sądzę, że ten list jest znacznie lepszy od tego, co ja sam przygotowałem. Dlatego pozwolę go sobie zacytować zamiast lub raczej, **jako dzisiejszą naukę rekolekcyjną**.

Mój koszmar zaczął się dwa lata temu, kiedy miałam 16 lat.

Wcześniej byłem zdrową, wesołą cieszącą się życiem i pełną optymizmu dziewczyną. Lubiłam, tak jak każda nastolatka tańczyć, chodzić na dyskoteki, poznawać nowych ludzi. Rodzice nigdy nie mieli ze mną żadnych problemów wychowawczych, z nauką szło mi dobrze, w niedziele chodziłam do kościoła, modliłam się.

Nikt nie przypuszczał, że to moje wspaniałe życie obróci się w prawdziwy koszmar. Kilka miesięcy przed wakacjami zauważyłam na prawej nodze pod kolanem niewielki guzek. Myślałam, że to nic groźnego, i że zniknie tak samo szybko, jak się pojawił. Jednak moje przypuszczenia się nie sprawdziły...

W drugi dzień wakacji poszłam z mamą do lekarza, aby obejrzał moją nogę, bo guzek, który początkowo był niewielki, stał się teraz sześciocentymetrowym guzem, a przy tym bardzo mnie bolał, zarówno przy chodzeniu, jak i przy lekkim nawet dotyku. Lekarz zostawił mnie na kilka dni w szpitalu na badaniach kontrolnych. Po paru dniach dowiedziałam się, że lekarze podejrzewają u mnie raka.

Z początku nie robiłam żadnej afery, bo nie miałam pojęcia, co tak naprawdę znaczy ta choroba. Wysłano mnie do Warszawy do Centrum Zdrowia Dziecka w celu zrobienia tam kilku dokładniejszych badań i ewentualnie przeprowadzenia zabiegu. W Centrum poczułam się bardzo nieswojo ...

Gdy weszłam na Oddział Onkologii i zobaczyłam te wszystkie małe dzieci podłączone do kroplówek, po prostu nie wiedziałam, jak mam się zachować. Zobaczyłam coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie widziałam: dzieci, które tam leżały, były bez włosów, rzęs, brwi, brały dożylnie jakieś płyny, wymiotowały na łóżkach. Zaczęłam płakać, prosiłam rodziców, żeby mnie stamtąd zabrali, że nastąpiła jakaś pomyłka, że nie powinnam tu być, że ja nie chcę być taka jak one.

Gdy się trochę uspokoiłam, zaczęłam się zastanawiać.

Dlaczego te dzieci tak cierpią? Za co one cierpią? Przecież te maleństwa powinny być teraz w domu, z rodzicami, między ludźmi, którzy je kochają, a nie tutaj - w tym okropnym szpitalu. Czemu one tak cierpią? Czym zawiniły w swoim krótkim życiu, żeby tak cierpieć?

Te i inne jeszcze pytania, na które nie znałam odpowiedzi, kłębiły mi się w głowie. Okazało się, że będę musiała zostać w szpitalu na badaniach. Tak bardzo się bałam. Jednak Rodzice zawsze byli przy mnie, gdy ich potrzebowałam. Po kilku dniach lekarze postawili diagnozę - nowotwór złośliwy. Byłam w szoku.

Niedługo potem operacja, po niej dostawałam kroplówki - tzw. chemioterapię, po której wypadły mi włosy.

Myślałam, że to mnie wykończy. Wymiotowałam, miałam biegunki, okropne bóle brzucha i głowy. Po kilku dniach brania "chemii" nie chciałam dłużej żyć, chciałam umrzeć. Zrozumiałam, że jestem już taka sama jak inne dzieci z tego oddziału i niczym się od nich nie odróżniam.

Myślałam wtedy, że Pan Bóg przestał mnie kochać, że mnie opuścił. Ale dlaczego? Dlaczego!? Na to pytanie nie potrafiłam sobie odpowiedzieć. Przestałam się modlić, byłam zła na Boga, już nie byłam taką optymistką jak kiedyś...

Wszystkie koleżanki, dowiedziawszy się o mojej chorobie, o tym, że wypadły mi włosy, brwi, rzęsy - odsunęły się ode mnie, tak jakby się bały, że je zarażę... Zrozumiałam, że to, co nas łączyło od najmłodszych lat, wcale nie było prawdziwą przyjaźnią; przyjaciół nie opuszcza się, gdy nas potrzebują, przeciwnie, trwa się z nimi w potrzebie do samego końca ...

Straciłam chęć do życia, przestałam wychodzić z domu, siedziałam w czterech ścianach własnego pokoju nad miską i wymiotowałam, ciągle wymiotowałam. Myślałam, że ze mną już koniec, że umrę...

Jednak nie, najwyraźniej Bóg jeszcze nie chciał, żebym opuściła tych, których kocham i którzy mnie kochali... Po sześciu miesiącach chemioterapii okazało się, że rak zaatakował kolano i posuwa się coraz wyżej. Tego było już za wiele. Lekarz powiedział mi, że w celu uratowania własnego życia będę musiała przejść jeszcze jedną trudną operację.

Nie wiedziałam, że mówił o amputacji nogi; myślałam, że ta operacja nie będzie się niczym różnić od poprzedniej. Dopiero w domu Rodzice powiedzieli mi ze łzami w oczach, że muszę poddać się amputacji nogi, gdyż w przeciwnym wypadku mogę umrzeć. Pamiętam, jakby to było wczoraj.

Tak bardzo płakałam, oczami wyobraźni widziałam już siebie bez nogi, widziałam ludzi wytykających mnie palcami, śmiejących się ze mnie lub użalających się nad moim losem. Wtedy pomyślałam, że jeżeli tak ma wyglądać moje życie, to wolę już umrzeć, i nie zazdrościć tym wszystkim "sprawnym" ruchowo...

Po kilku dniach spędzonych w domu pierwszy raz od sześciu miesięcy odmówiłam pacierz. Poczułam bardzo przyjemne ciepło w sercu i nowy przyływ nadziei. Z dnia na dzień coraz więcej się modliłam, prosiłam Boga o cud. Przepraszałam Go za wszystkie moje grzechy i błagałam o przebaczenie, o zdrowie, modliłam się bardzo gorąco. Przestałam się bać, już nie było we mnie tego strasznego lęku przed ludźmi, przed amputacją...

Podpisałam zgodę na wykonanie operacji. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, ale nie czułam ani złości, ani lęku, ani tego wewnętrznego bólu. Wiedziałam jednak wtedy, że to musi być jakiś znak od Boga - to, że zgodziłam się na operację, która miała się odbyć już za parę dni. Przez te wszystkie noce spędzone w domu gorąco modliłam się do Boga Ojca Wszechmogącego. Błagałam Go o cud.

Przyrzekłam, że jeżeli ocali mi nogę i życie, będę Mu dziękować do końca moich dni. Obiecałam Bogu, że będę modliła się o zdrowie dla wszystkich tych dzieci, które chorują i cierpią. Przez całe moje życie wiedziałam, że Bóg istnieje, ale teraz, w czasie choroby, prócz tego, że wiedziałam, to jeszcze czułam to...

W dniu operacji byłam bardzo spokojna, nie było we mnie lęku, strachu, bólu. Gdzieś głęboko w sobie czułam obecność Jezusa.

Jadąc na blok operacyjny, miałam w sercu mocną nadzieję, że wszystko będzie w porządku, bo Pan jest przy mnie i czuwa nade mną...

Minęło siedem godzin, przywieziono mnie z powrotem na oddział. Gdy po przebudzeniu się otworzyłam oczy, nie było przy mnie Rodziców, wszędzie było cicho, spokojnie. Powoli usiadłam.

Chciałam zajrzeć pod kołdrę, ale nie mogłam. Zaczęłam się modlić. Obiecałam Jezusowi, że jeżeli straciłam nogę, to nie będę się na Niego gniewać, bo i tak w całym moim życiu wiele dla mnie zrobił. Teraz rozumiałam, jak wielką, jak głęboką miłością Go darzę. Obiecałam Mu również, że dotrzymam wcześniejszego słowa, jeśli okaże się, że nie straciłam nogi.

Wtedy jakiś wewnętrzny głos podpowiedział mi, żebym zajrzała pod kołdrę...

Boże Jedyny, nie mogę nawet opisać, jaka radość opanowała moje serce, gdy ujrzałam całą nogę, tylko z jakimś metalowym urządzeniem. Nic nie rozumiałam. Nie wiedziałam, czy mam płakać, czy się cieszyć.

Wtedy weszli do pokoju Rodzice. Okazało się, że rozmawiali z lekarzem, który mnie operował. Powiedział, że na bloku operacyjnym, w celu jeszcze dokładniejszego upewnienia się co do ostatnich badań, zrobiono mi tzw. badanie mikroskopowe, które wykazało, że kolano jest "czyste" i nie ma w nim żadnych komórek rakowych. Wycięli mi jedynie 11 cm kości piszczelowej, która była zaatakowana przez raka. Założyli mi też na nogę - zamiast gipsu - specjalny aparat (Izarowa), abym mogła przez kilka miesięcy, tj. dopóki ten ubytek kości się sam nie zrośnie, normalnie chodzić.

Czułam, jak wzbiera we mnie radość. Byłam taka szczęśliwa, że nie umiem tego opisać. Wraz z moimi kochanymi Rodzicami płakałam ze szczęścia.

Odmówiliśmy razem pacierz, później różaniec, głośno i wyraźnie dziękowaliśmy Bogu za cud, którym mnie obdarzył, za uratowanie mojej nogi, mojego całego życia. Lekarze mówili, że nie ma już mowy o raku, bo wszystko, co było przez niego zajęte, usunęli - dla zabezpieczenia nawet z kawałkiem zdrowej kości. Teraz, gdy jest już po wszystkim, nareszcie znalazłam odpowiedź na pytania, które sobie zadawałam, gdy po raz pierwszy przyjechałam do Centrum Zdrowia Dziecka.

Wiem, że cierpiałam wraz z innymi chorymi na raka dziećmi tylko i wyłącznie dlatego, że Bóg tak chciał, i że to nie była żadna kara od Niego, lecz wyraz Jego miłości.

On nas kocha i troszczy się o nas. Gdzieś głęboko w sercu czuję, że ci wszyscy, którzy cierpią z powodu chorób, śmierci kogoś bliskiego lub różnego rodzaju dramatów w rodzinie, są po prostu naznaczeni tą wspaniałą miłością przez naszego Pana. Każdego dnia modłę się do Boga i dziękuję Mu za to, że przez cały ten okres choroby nie opuścił mnie ani na chwilę, czuwał nade mną, zesłał na mnie cud, o który Go tak bardzo prosiłam.

Aparat mam jeszcze na nodze, ale już nie na długo, bo za dwa miesiące lekarze planują go zdjąć. Tak bardzo się cieszę każdym dniem, każdą godziną życia, bo życie to naprawdę najpiękniejszy dar od Boga.

Magda

Po przeczytaniu tego listu czuję się zawstydzony i zażenowany, bo myślę, że moja wiara jest jeszcze bardzo maleńka i bardzo mizerna w porównaniu z wiarą tego dziecka ...

O wiarę trzeba się modlić ... Panie przymóż nam wiary, zaradź niedowiarstwu naszemu.